

Aleksandra Kocot

Pójdę z tobą, mój Aniele...

3 marca 1944 r.

Dzisiaj świeci słońko. Jest tak szczerzłote i gorące jak moja miłość do Fuhrera. Ale od początku. Nazywam się Leni Brandt i mam dwanaście lat. Zaczęłam pisać pamiętnik, żeby każdego dnia opisywać moją miłość do ukochanej Ojczyzny – Trzeciej Rzeszy. Moje życie oceniam jako bardzo szczęśliwe. Mój ukochany Tato pracuje jako wysoko postawiony esesman. Bardzo go podziwiam. Przypomina mi greckiego boga, wyciosanego z hebanu. Nosi eleganckie garnitury i wysokie, wypolerowane buty. Kocham go najbardziej na świecie. No może nie najbardziej, bo zaraz po naszym ukochanym Fuhrerze, którego obraz wisi dumnie w naszym salonie. Wiem, że jestem wartościowym człowiekiem, bo moja czaszka spełnia aryjskie wymiary, co z dumą podkreśla zawsze Tatuś, a moje włosy są jasne niczym kłosa mieniające się w złocistym słońcu. Mieszkam z Tatusiem i moją babcią Gretą w ogromnym domu w Berlinie. Właściwie marzę tylko o jednym: chciałabym przystąpić do Jungmädelbund i tym samym żyć tak, jak przykazał Fuhrer. Dzisiaj wieszam jego ogromny plakat nad łóżkiem, w moim pokoju. Myślę, że Tatuś się ucieszy. Cóż więcej mi potrzeba do szczęścia?

5 marca 1944 r.

Chciałabym choć raz poczuć się szczęśliwa. Wiem, wiem nie o tym miałam pisać. Ale jak tu nie przyznać się przed samą sobą, że tęsknię za matecznym objęciem, za zapachem delikatnych perfum, za dotykiem dłoni głaskających moje włosy... To już dwa lata, dwa długie lata, odkąd moja mama Margarethe odeszła (innego słowa nie mogę użyć) tak nagle, że wciąż nie mogę tego pojąć. Ten dzień oddzielił, niczym gilotyna, moje spokojne, beztrudne życie od tej samotni, którą teraz wiodę. Tamten dzień... czy mogłabym zapomnieć....

- Margarethe, moja kochana żono – usłyszałam tamtego strasznego wieczoru, jak Tatuś czule zwraca się do Mamy. – Zostałem komendantem obozu w Ravensbrück.

- Helmucie – zdziwiona usłyszałam smutny, nie.. przerażony głos Matki. – Czy ja to wytrzymam? Kiedy stałeś się potworem? - i pomimo dyskretnie uchylonych drzwi słysząc było jęki i zawodzenia Mamy:

– Nie za takiego człowieka wychodziłam za męża, nie temu ślubowałam. Helmucie, ty chcesz stać się katem!

- Nie, Margarethe – usłyszałam stanowczy głos ojca. - Ja chcę nasze Niemcy oczyścić z tego robactwa!

Tego, co potem usłyszałam, nie zapomnę do końca życia. Mama krzyknęła tak głośno, że zatrzęsął się wielki kandelabr, zawieszony w salonie. Tata krzyczał jeszcze głośniejszym głosem i wzywał doktora Schnepfa, który w naszej posiadłości zjawił się dosłownie w mgnieniu oka.

- Za późno – słowa doktora niemal mnie zabiły. – Zwał – orzekł bez emocji, jakby stwierdzał mało znaczący fakt.

Tata ukrywając głowę w swych dłoniach, płakał. Tak, po raz pierwszy płakał i powtarzał w kółko:

– Margarethe, Margarethe, przepraszam, błagam wybacz mi...

Wtedy też skończyło się moje życie, a właściwie zaczęło się nowe, pełne niemieckiej symetrii, ładu i braku emocji. A nad wszystkim zaczęła panować moja babka Greta, którą Tatusz przysłał po tym strasznym wydarzeniu. Już pierwszego dnia usłyszałam jak babka mówi:

- Leni ma być wzorową niemiecką dziewczyną. Zobacz, jak ta Margarethe ją rozpuściła...

Wiesz Helmucie, że nigdy nie przepadałam za twoją, żyjącą w świecie romantycznych powieści, żoną. Teraz zaprowadzę prawdziwy niemiecki porządek. Ordnung muss sein, ot co – rzekła stanowczo starsza pani. I tak się stało. Codziennie wstawałam wczesnym rankiem, gimnastykowałam się, jadłam pożywne śniadanie, uczyłam się historii Niemiec i kaligrafii z panną Schmidt, potem spacer, kolacja, czytanie *mein Kampf* i nastawał kolejny dzień. Czy wiecie, że przez te dwa lata nikt mnie nie przytulił? Babka uważała to za zbędne czułości i cikliwe „wymysły Margarethe”. Tatusz natomiast znikał rankiem i wracał późnym wieczorem, bąkając niedbale w moją stronę:

– Guten Abend, meine Tochter...Ach, ile jeszcze smutku przyjdzie mi znieść?

24 maja 1944 r.

Życie jednak jest zaskakujące. Nie mieszkam już w ogromnym domu w Berlinie, a w pełnym czaru miejscu. Przeprowadziliśmy się do Polski, do Oświęcimia. Jak tu pięknie! Domek jest mały, ale taki uroczy. No i ogród, jest taki przepiękny! Zalewa go prawdziwa powódź kwiatów. Patrząc przez okno mojego pokoju i nie mogę się nadziwić ilości barw i zapachów delikatnych fiołków, słodkiej woni storczyków, rumianków i królewskich róż. Jakże kojąco wpływa na mnie krystalicznie czysta, przezroczysta woda, dyskretnie szemrająca w śnieżnobiałej fontannie, ustawionej na środku ogrodu. W jej poświęceniu, cały tajemniczy ogród odbija się niczym w lustrze. W dzisiejszy upalny, majowy dzień, złociste promienie słoneczne

obejmują gęstą kaskadę jasnozielonych liści. Niesamowitość i beztroska tego miejsca sprawia, że pragnę tu zostać na zawsze. Jestem pewna, że nikt nie może się czuć tu nieszczęśliwy. To jest istny raj.

27 maja 1944 r.

Uwielbiam nowe odkrycia, a dzisiaj zobaczyłam coś tak niesamowitego, że kiedy tylko o tym pomyślę, przeszywa mnie rozkoszny dreszcz emocji. Rankiem poszłam nieoczekiwanie na strych, żeby złożyć tam moje stare lalki, którymi już się nie bawię. I co zobaczyłam? Stając na palcach, przez małe okienko dostrzegłam dziwnych, okropnych chudzielców w pasiakach. Wyglądali jak zjawy, blade, przezroczyste duchy. Jednak ich stan nie przeszkadzał im w sprawnej i nadzwyczaj szybkiej pracy. Zaśmiałam się głośno:

– Cóż za dziwne zjawisko? Kim oni są?

To samo pytanie zadałam babci Grecie, która zaraz skarciła mnie wzrokiem i rzekła surowo:

- Na Boga, Leni, ci ludzie nie są warci twoich myśli. Właściwie to nie ludzie, tylko szczury, paskudne szkodniki, które trzeba wytępić. Twój Tata jest przecież komendantem tego obozu.

- Komendantem? – zapytałam krztusząc się herbatą. Mina babci nie wróżyła nic dobrego, zatem czym prędzej udałam się do mojego pokoju i nie pytałam już o nic więcej. Tej nocy nic mi się nie śniło.

28 maja 1944 r.

Dziwny widok z okna na strychu wciąż nie dawał mi spokoju. Czułam jednocześnie podekscytowanie, ale i dziwne obrzydzenie na myśl o tamtych chudzielcach. Nagle zdziwiłam się jeszcze bardziej: w ogrodzie wielką łopata kopali oni... A właściwie dwóch z nich.

- Dzień dobry – krzyknęłam uprzejmie w ich stronę.

- Ani się waż! – usłyszałam nagle głos mojej guwernantki. – Zostaw te śmiecie w spokoju. Jednak moja ciekawość zwyciężyła. Nie bacząc na pannę Schmidt, pobiegłam co sił w nogach do ogrodu.

- Leni, nie wolno – krzyczała guwernantka, która pobiegła za mną. – Leni, Leni...

Nagle usłyszałam huk. Panna Schmidt potknęła się na schodach prowadzących do ogrodu i leżała jak długa...

29 maja 1944 r.

- I gdzie my teraz znajdziemy dobrą guwernantkę dla Leni? – usłyszałam z rana oschły głos babci. – Dziewczyna musi się uczyć. Sprowadzenie jakiejś z Berlina potrwa z miesiąc.

- No cóż, nie mamy wyjścia, weźmiemy jakąś wykształconą z nowego transportu. Polkę, oczywiście – zdziwiona usłyszałam słowa Taty.

- Helmucie, czyś ty oszalał? Ona nie jest czysta rasowo, nie mogę się na to zgodzić.

- Ja już postanowiłem. Jest taka jedna z Warszawy, pisarka, przed wojną była nauczycielką w dobrym gimnazjum. Zna niemiecki. To tylko na chwilę...Potem się jej pozbędziemy – Tata był stanowczy.

Na myśl o polskiej guwernantce zrobił mi się niedobrze. Nie chcę, po prostu nie chcę! Fe..Polka będzie dotykać moich książek, usługiwać mi, przygotowywać śniadanie, słać łóżko...A ja myślałam, że wreszcie jestem szczęśliwa.

2 czerwca 1944 r.

Dzisiaj zjawiała się ona: nędzna, smutna, ciemnowłosa, młoda kobieta, o kruczoczarnych włosach i głębokich, ciemnych, podkrążonych oczach. Wydawała się taka drobna i niepozorna. Dosłownie ginęła w ubraniu, które miała na sobie.

- Nienawidzę jej. O, nie będzie miała ze mną łatwo – pomyślałam z satysfakcją. Tymczasem kobieta pogładziła mnie po policzku:

- Jestem Krysią – rzekła cichym głosem. – Będę się tobą opiekować, kochanie, jak własną córką.

- Córką? Ty polska żmijo – parsknęłam niegrzecznie. I nagle, nie wiedząc czemu postanowiłam wyładować cały swój gniew i smutek właśnie na tej kobiecie:

– Jesteś zwykłym karaluchem, pijawką, szczurem, pluskwą – do mych słów dołączyłam kopniaki i bicie pięścią.

Kobieta dumnie wyprostowała się i mocno chwyciła moje dłonie, po czym, w co nie mogłam uwierzyć, mocno objęła mnie i zaczęła całować.

– Ty biedne dziecko, biedne moje dziecko, co ta wojna z nami zrobiła?

Powoli przestałam kopać i bić Krysię, tylko też mocno się do niej wtuliłam. Poczułam się, jakbym odzyskała Mamę. Słabe ramiona Krysi obejmowały mnie tak czule i mocno, że już niczego się nie bałam. Chciałam, żeby ta chwila trwała wiecznie.

31 lipca 1944 r.

Wstydzę się kochać Krysię. Dlatego nie pisałam tak długo. Ale tak: Kocham ją, bardzo, bardzo ją Kocham. Stała się dla mnie drugą Mamą. Choć nie ma aryjskich wymiarów czaszki, złotych włosów i niebieskich oczu, jest pełna ciepła, słodczy i dobroci. Czyżby więc...wszystko to, o czym mówiła mi babcia Greta i Tato było kłamstwem? Czy o wartości

człowieka przesądza wygląd i przynależność do danej rasy? Dzisiaj już wiem, że na pewno nie. Krysia jest dla mnie najważniejsza na świecie. Uwielbiam jak bierze mnie na kolana, gładzi czule mój policzek i całuje po złotych włosach. Uwielbiam, kiedy razem ganiamy się w ogrodzie, kiedy wdychamy woń fiołków, kiedy wspólnie czytamy powieści dla dziewcząt, kiedy uczy mnie gotować barszcz i lepić polskie pierogi, kiedy w sekrecie śpiewamy po polsku „O mój rozmarynie, rozwijaj się...”. Jednym słowem czuję się szczęśliwa i kochana. Kiedy skończy się wojna, na pewno nie opuszczę Krysi. Pójdę z Tobą, mój Aniele. Przysięgam.

15 sierpnia 1944 r.

Moje życie się zakończyło, nadzieja umarła bezpowrotnie, skończyła się wraz ze słowami wiersza, którego recytowałam z Krysią: „ Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie, Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, Kto cię stracił”. Tego dnia pamiętam tylko tyle: recytuję z Krysią, ojciec stoi w drzwiach, nieoczekiwanie przysłuchuje się ze złością...Szarpnięcie drzwi, policzek wymierzony Krysi...mój płacz..., rozpacz...Zdzieram ze złością plakat Hitlera ze ściany, ojciec krzyczy, Krysia płacze...Wiem, że nie zobaczę jej już nigdy. Chcę krzyknąć na cały głos, ale coś ściska mnie za gardło...

- Masz być Niemką! – słyszę słowa ojca. Teraz dopiero teraz odzyskuję mowę:

- Nie, mam być po prostu dobrym człowiekiem! - szepczę...

-